

Lech Kańtoch

Lista problemów wewnętrznych stojących przed prezydentem USA, Barackiem Obamą jest długa. Są to sprawy wymagające, i determinacji, i ogromnego społecznego poparcia. By go zdobyć wcale nie jest łatwo w takim kraju jak USA. Większość trudnych spraw wynika z ustrojowej konstrukcji Stanów Zjednoczonych. Zwłaszcza istniejących uwarunkowań, których zmiana – a nawet drobna korekta – jest niesłychanie trudna. Takimi zagadnieniami są: niedawna reforma ubezpieczeń zdrowotnych, rozpoczęta walka o reformę systemu finansowego i batalia przeciwko bezrobociu. To te chyba najważniejsze.

Mimo decyzji batalia trwa

W końcu marca 2010 r. Senat USA uchwalił ostatecznie ustawę o ubezpieczeniach zdrowotnych, a prezydent Barack Obama ją podpisał. Ma ona trzy filary: zakazuje odmawiania ubezpieczenia ze względu na przebyte choroby, wprowadza obowiązek posiadania ubezpieczenia oraz przewiduje państwowe dopłaty dla tych, których na to nie stać. Ponadto zakłada opodatkowanie bogatych, tych którzy zarabiają ponad 250 tys. dolarów (rodziny zarabiające ponad 1 milion zapłacą 46 tys. dodatkowego podatku).

Republikanie są jej przeciwni. Szef mniejszości republikańskiej w Izbie Reprezentantów, John Boehner oświadczył 29 kwietnia 2010 r., że jej „unieważnienie jest priorytetem numer 1 w jesienią 2010 r.” O ideologicznym wymiarze problemu świadczy teza, że ustawa o ubezpieczeniach zdrowotnych „jest największym zagrożeniem dla wolności obywatelskich”.

Czy uda się ją obalić w przypadku ewentualnego sukcesu republikanów – trudno powiedzieć. W każdym razie oskarżanie Prezydenta USA o „socjalizm” jest już mniej nośne niż poprzednio. W badaniach na temat pozytywnych skojarzeń pojęć „socjalizm” i „kapitalizm” wywołuje odpowiednio 29 i 52 procent. Wśród młodych ludzi oba są kojarzone pozytywnie przez 43 procent, u starszych poparcie dla „socjalizmu” spada do 23 procent.

Wiele elementów reformy – o czym się zapomina – było wprowadzone w niektórych stanach, na przykład w Massachusetts. Ale walka z całą ustawą była by bezprecedensowym wydarzeniem, na które chyba nie stać jej przeciwników. Chyba, że nastąpi bardzo niekorzystny dla prezydenta zwrot.

Niewątpliwie będzie to jeden z głównych sporów jesiennej kampanii, która przypada na połowę kadencji prezydenckiej. Jest to ważne starcie, bo wybierani są wówczas członkowie Izby Reprezentantów, jedna trzecia senatorów i gubernatorów oraz władze stanowe i municypalne. Mimo, że decyzje dotyczące ubezpieczeń zdrowotnych już zapadły, napływają interesujące informacje o wcześniejszych posunięciach republikanów. Wciąż wychodzą na jaw ostatnie działania przeciwników reformy. Ujawnia to Amerykańska Federacja Pracy – Kongres Organizacji Przemysłowych powołując się na pismo „National Journal”. Jeszcze w styczniu 2010 r. – a więc w trakcie batalii w Kongresie USA – grupa „największych ubezpieczycieli w sposób tajny przekazała pieniądze – około 20 milionów dolarów – do Amerykańskiej Izby Handlu (U.S. Chamber of Commerce), by publikowano kłamliwe, siejące obawy ogłoszenia na temat reformy ubezpieczeń zdrowotnych”.

Właściwie nikogo to nie powinno dziwić, bo republikanie nie kryli się zbytnio, że od dawna finansują opinie mające zahamować reformy. A na zablokowanie reformy ubezpieczeniowej wydali już setki milionów dolarów.

Warto przy okazji dodać, że serię katastroficznych publikacji na ten temat zamieściła polska, neoliberalna prasa. Tylko kilka tytułów: „Reforma zdrowia to zamach na finanse Ameryki”, „Doktor Obama i jego pacjenci” czy wreszcie „Totalitarna reforma zdrowia w USA”. Chyba nie

czytają oni ani „The Washington Post” ani „The New York Times”, tygodników „Newsweek” czy „Time”. Z ich lektury wynika, że są odbiorcami Fox News czy innych środków masowego przekazu związanych z prawicą republikańską.

Nie ma już „uczciwych maklerów” ?

Prezydent Barack Obama może jednak mówić, że odniósł sukces, bo zrobił coś, co nie udało się jego poprzednikom. Oznacza to dodatkowe ubezpieczenie chyba wszystkich Amerykanów. Przeprowadzenie tej reformy jest powszechnie traktowane jako koniec ery prezydenta Ronalda Reagana. Jego późniejszy demokratyczny następca zamierza kontynuować politykę zmian. Celem są finanse, zwłaszcza sposób funkcjonowania nowojorskich banków. Chce doprowadzić do korekty uregulowań wynikających z polityki neoliberalnej.

Doprowadziła ona do niedawnego kryzysu finansowego i gospodarczego. Spowodowało go „pęknięcie – jak to się ładnie określa – bańki inwestycyjnej”. Konkretnie zaś chodzi o fiasko „instrumentów finansowych”, o których było już wiadomo w momencie emisji, że po sześciu miesiącach stracą na wartości. Gdy w jesieni 2008 r. doszło do krachu, republikański prezydent George W. Bush rozpoczął „pompowanie” pieniędzy na pomoc bankom z Wall Street.

Prezydent Barack Obama robi to samo tylko na większą skalę od początku swej kadencji w Białym Domu. 22 kwietnia 2010 r. odwiedził Nowy Jork, gdzie wygłosił programowe przemówienie. Przypomniawszy, że gdy dwa lata wcześniej był na Wall Street, USA przechodziły koszmar kryzysu. Był to kolejny Wielki Krach.

Warto jednak zwrócić uwagę na to, co jeszcze powiedział w Nowym Jorku Barack Obama. Jest tam aluzja do matactw uprawianych na Wall Street przez giganty finansowe. „Wolny rynek – mówił prezydent USA – nigdy nie oznaczał przyzwolenia, że możesz swobodnie sobie poczynić i wypuszczać na giełdę cokolwiek chcesz” .

Cztery lata temu niektórzy inwestorzy przewidywali spadek tych akcji, a nawet krach na giełdzie. Mimo to wszystko toczyło się w najlepszej atmosferze, zgodnie z hasłem: „business as usual”. Zainteresowani tym tylko korzystali, bo banki wspierają kampanie wyborcze. „The Washington Post” nadmieniał nawet, że „wszystkie banki na Wall Street są politycznie toksyczne”. Oznacza to, że udzielają wsparcia politykom. Sam Goldman Sachs przekazał w tej dekadzie politykom federalnym 24 miliony dolarów. Barack Obama miał otrzymać tylko jeden milion.

Barack Obama przypomniał, że znany finansista Warren Buffett jeszcze w 2002 r. nazwał derywaty i inne podobne instrumenty „finansową bronią masowego rażenia” . „Takie banki – pisał w artykule wstępnym „The New York Times” – jak Goldman Sachs, zmieniły system finansowy w kasyna”. Zapanowała atmosfera hazardu. Jednak to społeczeństwo – nie bankierzy – ponoszą koszty. Ci dostają wielomilionowe „bonusy” .

Bank Goldman Sachs nie tylko stracił „społeczne zaufanie” – to, co się uważa w interesach za najcenniejsze – ale też oskarżany jest o niezbyt jasne działania w kryzysie greckim .

Ale w ostatnim kryzysie ponad 8 milionów ludzi zostało pozbawionych pracy, niezliczeni mali i średni przedsiębiorcy musieli zamknąć swe firmy. Ludzie tracili domy, dorobek życia. Ze środków publicznych przeznaczono setki miliardów dolarów na ratowanie finansów wielkich banków. Dzięki temu gospodarka ruszyła szybko do przodu. Obecne wyniki są najlepsze od trzech dekad. Jednak „o ile postęp jest odczuwany na Wall Street, to Main Street nie może być zadowolony”. Tak czytamy na internetowych stronach amerykańskiej centrali związkowej AFL – CIO.

„Nie płaczcie za Wall Street”

Stąd też mimo społecznego przyzwolenia i przyjęcia przez Izbę Reprezentantów stosownej ustawy, nadal trwają targi w Senacie USA. Towarzyszy temu kampania prasowa, zdominowana przez zwolenników reform. Republikanie są tutaj w defensywie. Wydają miliony dolarów na akcje przeciwdziałające.

Noblista w dziedzinie ekonomii i komentator dziennika „The New York Times” Paul Krugman kpi wręcz z republikanów, nawiązując w tytule artykułu do znanego musicalu i filmu z Madonną w roli głównej: „Nie płaczcie za Wall Street”. Píše o przeroście „przemysłu” finansowego, który żeruje na gospodarce. Uważa, że staje się to obciążeniem dla samego Wall Street, a nawet, że „co będzie złe dla Wall Street może okazać się dobre dla Ameryki”. Twierdzi, że obrona obecnego Wall Street, zwłaszcza przeciwstawianie się jakimkolwiek reformom powinna być wielkim wstydem dla Partii Republikańskiej. Tym bardziej, że to oni w 2008 r. – co chcieliby obecnie zapomnieć – zapoczątkowali wspieranie finansowe Wall Street.

Związkowcy amerykańscy są bardziej lapidarni w słowach mówiąc o „oszustwach”. Tak czy owak sprzedawane akcje były wątpliwej wartości! Stąd związkowcy są wprost wściekli i mają rację, bo to w nich, zwykłych pracowników, uderzył kryzys i bezrobocie. Zorganizowali też protest. 29 kwietnia 2010 r. dziesięć tysięcy członków AFL – CIO demonstrowało na Wall Street. 35 tysięcy osób wyraziło – w tym niżej podpisany – swoje poparcie za pośrednictwem Internetu. Żądali, by banki z Wall Street zapłaciły za kryzys bezrobotnym.

Można się zastanawiać, w jakim kierunku pójdą reformy systemu finansowego, zwłaszcza banków z Wall Street. Za „uregulowaniem kapitalizmu” opowiada się „The Washington Post”. Jego publicysta najpierw cytuje Karola Marksa piszącego, że „im bardziej pieniądz staje się abstrakcyjny, tym mniej ma naturalne relacje z innymi towarami”. By zdanie dalej napisać, że „jeśli pieniądz staje się abstrakcją, wynalazki banków inwestycyjnych stają się abstrakcjami z abstrakcyjnych abstrakcji”! Na których tylko nieliczni mogą zarobić!

Stąd jego wniosek jest prosty, „aby obronić kapitalizm trzeba go uregulować w interesie publicznym”. Przede wszystkim powinien być ograniczony zakres działalności banków, mogą zostać pozbawione możliwości handlowania papierami wartościowymi klientów, a wyłącznie własnymi. Przypuszczalnie też zostanie im odebrana możliwość zaciągania pożyczek z Rezerwy Federalnej.

Walka z bezrobociem

Styczniowe Orędzie prezydenta USA Baracka Obamy przyniosło, niemal dla wszystkich, pewne rozczarowanie. Miało odegrać rolę dźwigni, która wydobędzie zarówno prezydenta jak i demokratów z impasu, w jakim się wówczas znaleźli. Pojawiły się wtedy prognozy, że Barack Obama zmierza drogą zbliżoną do Jimmy Cartera – i skończy na jednej kadencji. Ale z drugiej strony gospodarka amerykańska zaczęła nabierać rozpędu ...

Warto przypomnieć, że w przed dzień rocznicy objęcia władzy demokraci przegrali prestiżowe wybory uzupełniające do Senatu USA w Massachusetts. Mandat po zmarłym liderze Partii Demokratycznej, Edwardzie Kennedym, zdobył republikanin. Utrata tzw. super większości w Senacie – 60 mandatów – oznaczała, że pojawiły się obawy o przeforsowanie ustawy o ubezpieczeniach zdrowotnych. Na szczęście były one przedwczesne, ponieważ ofensywa prezydenta zrobiła swoje.

Tymczasem bezrobocie przekroczyło wówczas alarmujący poziom 10 procent i zbliżyło się do 15 milionów ludzi bez pracy. Opublikowane w dzień ogłoszenia przez prezydenta Baracka Obamę „Orędzia o stanie państwa” wyniki badania opinii publicznej nie były też zachęcające.

Trzy czwarte Amerykanów uważało, że rząd nie pracuje, 58 procent, że kraj zmierza w złym kierunku.

Ten czas już minął. W Białym Domu jest więcej optymizmu. Prezydent Barack Obama stale podkreśla, że ma świadomość, iż obecny kryzys jest najgorszy od czasu Wielkiego Krachu. Że dla niego miarą poprawy sytuacji i postępu jest czy polityka administracji sprzyja tworzeniu miejsc pracy czy też nie. Pamięta – przypomniał to 7 maja 2010 r. – że, gdy wkraczał do Białego Domu, Ameryka traciła 750 tysięcy miejsc pracy miesięcznie .

Podjęte przez niego kroki – w tym 30 miliardów dolarów na kredyty dla małych i średnich przedsiębiorstw – dały już pewne rezultaty. W lutym i marcu tego roku przybywało, co miesiąc, więcej miejsc pracy niż wcześniej oceniano. W kwietniu powstało ich 290 tysięcy, bezrobocie jest już poniżej 10 procent. Odnotowano też największy poziom zatrudnienia w przemyśle od 1998 r., a także duży wzrost produkcji.

Uwagi końcowe

Barack Obama ma już za sobą niezwykle trudny egzamin ze skuteczności politycznej. USA prowadzą ponadto działania wojenne w Afganistanie i Iraku. Prezydent dostał Pokojową Nagrodę Nobla za wizję świata bardziej pokojowego.

Trudno przesądzać, czy republikanom uda się unieważnić reformę ubezpieczeniową. Prezydent zna więc strategiczny cel Partii Republikańskiej. Można sądzić, iż wyeliminuje neoliberalne uregulowania z Wall Street, a także ograniczy – bo tego żąda społeczeństwo – nieuzasadnione premie bossów wielkich korporacji finansowych. I tutaj zdobędzie poparcie społeczne.

Kolejnym problemem jest gigantyczny deficyt budżetowy, który może się zwiększyć, a nawet być przyczyną ponownego kryzysu. Wieszczą to zwłaszcza neoliberalni dogmatycy z nad Wisły, przeciwni jakimkolwiek reformom w USA.

Obok tych problemów są inne. Wyciek ropy naftowej w Zatoce Meksykańskiej jest sprawą niezwykle trudną i o ogromnej wadze, bo prezydent musi potwierdzić swe zdolności przywódcze. Coraz bardziej nabrzmiewa sprawa latynoskich imigrantów, która stała się zapalną w Arizonie. Restrykcyjne uregulowania stanowe – wchodzi w życie w lipcu – już wywołują sprzeciwy i napięcia. Będą mieć swe reperkusje w listopadowych wyborach.

Tak więc życie toczy się dalej. Sposób rozwiązywania problemów świadczy o klasie polityka. Wie o tym dobrze Barack Obama. Ma już też pierwsze sukcesy. Ale to nie koniec problemów.

Lech Kańtoch, publicysta